BLIZNY

Z inżynierem Stankiewiczem znaliśmy się raczej przelotnie, ale w przedziale pociągu zdążającego z Olsztyna do Warszawy od razu zgadaliśmy się, że jedziemy do tego samego sanatorium. Trzymaliśmy się razem przez całą podróż, razem przesiadaliśmy w Warszawie a potem w Kielcach, dopiero na stacji przeznaczenia w tumulcie wsiedliśmy do innych mikrobusów sanatoryjnych i w ten sposób w uzdrowiskowym biurze usług każdy z nas zgłaszał się oddzielnie. Dlatego nie zakwaterowali nas w jednym pokoju.

Następnego ranka spotkaliśmy się w parku i okazało się, że obaj mamy właśnie iść do planowania zabiegów — wybraliśmy się więc do kąpieliska razem. To właśnie wskutek tego przypadku od początku do końca spotykaliśmy się co drugi dzień w tej samej dwuosobowej kabinie, stale o tej samej godzinie.

Spotykaliśmy się zazwyczaj już wcześniej — po drodze do zakładu borowinowego albo w leżalni, gdzie rozbieraliśmy się do naga i w płaszczach kąpielowych oczekiwaliśmy na wezwanie kąpielowego. Gdy ten zawołał „kabina siódma" — wsuwaliśmy nogi w drewniane chodaki i klaszcząc nimi po posadzce, dreptaliśmy długim korytarzem. Stary kąpielowy zawijał mnie zazwyczaj pierwszego. Wyrzucał na stół zabiegowy dwa wiadra czarnej, gorącej mazi i rozpościerał ją aż do miejsca, w którym miały znaleźć się moje biodra. Kładłem się, a stary okładał mnie dymiącą borowiną, zawijał ceratową płachtą, a wreszcie przykrywał prześcieradłem i kocem. Na koniec nastawiał wielką, na drewnianej ramie umocowaną klepsydrę. Potem powtarzał te same czynności wokół Stankiewicza. Już pierwszego dnia musiał zauważyć coś na jego ciele, bo zapytał:

— To pamiątka z wojny?

— Tak — odpowiedział krótko inżynier.

— Był pan w partyzantce czy w wojsku?

— W partyzantce.

I nic więcej. Kąpielowy przeszedł do sąsiedniej kabiny, w której rozwijał z borowiny dwóch innych kuracjuszy, wrzucał ceraty z czarną mazią do wiader, następnie otwierał prysznic, pod którym pacjenci obmywali się z błota. Krzątał się jeszcze nad przygotowaniem

zabiegu dla dwóch następnych, aż wreszcie słyszeliśmy jego wołanie: „kabina ósma!"

Tymczasem w klepsydrach przesypywał się rudy piasek, a my pociliśmy się coraz bardziej. Borowina wyciskała z nas razem z chorobą wszystkie siły. Po dziesięciu minutach chciało się uciekać z tego męczeńskiego łoża, ale w górnej przegródce klepsydry pozostawało jeszcze piasku na kilka minut i trzeba było wytrwać do samego końca.

Kąpielowy wracał do nas mniej więcej właśnie w tym czasie i pytał: „No i jak tam?" — Odpowiadaliśmy niemal równocześnie: „Dziękuję, dobrze", więc wychodził i pokazywał się dopiero w samą porę, by nas uwolnić ze zdrowiodajnego jarzma.

Gdy obmywaliśmy się z błota — każdy z nas pod swoim prysznicem — spojrzałem na mego sąsiada, by poszukać owego znamienia, które zainteresowało kąpielowego. Inżynier był dobrze zbudowany, miał szeroką, silnie rozwiniętą klatkę piersiową i muskularne ramiona, ale kark jego był sztywny, a górna część pleców między barkami zaokrąglona. Poruszał się niezręcznie, z trudem zmieniał położenie głowy. W toku naszych poprzednich przelotnych spotkań spostrzegłem, że jego ruchy są jakieś nienaturalne — sądziłem jednak, że to wypracowana poza, mająca mu dodawać uroku.

Znalazłem wreszcie to, czego szukałem. Na prawej piersi, spod owłosienia brązowiła się wąska, kilkucentymetrowej długości blizna. To była ta wojenna pamiątka. Nie powiedziałem nic, wychodząc z tego założenia, że jeżeli on sam nie podchwyci tematu, to nie wypada wnikać w jego odległe, osobiste sprawy.

Podczas drugiego spotkania w zakładzie borowinowym, nie mogłem jednak oprzeć się chęci dokonania dalszych oględzin inżyniera. Był w moim wieku, choć głowę miał bardziej łysą niż ja, a resztki włosów na niej były bardziej siwe. Kładąc w kabinie na stoliku swą kartę zabiegową, spojrzałem ukradkiem na jego kartę. Urodziliśmy się w tym samym roku.

Kąpielowy miał na pewno jakieś piętnaście— dwadzieścia lat więcej od nas, był już z pewnością w wieku emerytalnym, ale ruszał się żwawo, z łatwością dźwigał kubły i ceraty z borowiną, a równocześnie spełniał swe funkcje z wrodzoną matczyną troską.

Owego drugiego dnia — gdy leżałem spowity miłym gorącem, a Stankiewicz kładł się dopiero na borowinie — kąpielowy zagadał nagle:

— Pan spędził kawałek wojny w tej okolicy?

— Skąd pan wie?

— Ja nie wiem, tylko pytam.

— To się zgadza.
— Pana twarz jest mi dziwnie znajoma.
— Możliwe, żeśmy się widywali.

Nie mieli więcej czasu na rozmowę. Kąpielowy odwrócił jego klepsydrę i poszedł do sąsiedniej kabiny.

Gdy potem pod prysznicem obmywaliśmy się z borowiny, spojrzałem na twarz mego współkuracjusza. Zobaczyłem zmarszczki na jego czole i coś jakby niepokój w oczach. Od tej pory bałem się rozmów z nim — tym bardziej, że wyglądało na to, jakby mnie chciał unikać. Bo potem w leżalni położył się z daleka ode mnie, kręcił się niecierpliwie pod kocem i leżał dłużej niż ja, jak gdyby nie mógł zdecydować się na wyjście. Byłem już ubrany i opuszczałem budynek, a on ciągle jeszcze leżał z zamkniętymi oczyma i tylko jego policzki nerwowo drgały.

Trzeci nasz pobyt w oddziale borowin kończył pierwszy tydzień kuracji. Inżynier sprawiał wrażenie człowieka zastraszonego. Rozglądał się wokół siebie, jak gdyby węszył niebezpieczeństwo. Gdy kładł się na stół zabiegowy — a obserwowałem go tego dnia prawie bez przerwy — unikał wzroku starego kąpielowego i wodził oczyma po mokrych ścianach kabiny. Kąpielowy natomiast od razu przystąpił do rozmowy z nim:

— Pamięta pan z czasu wojny kolczykarzy, co to rejestrowali chłopom bydło i świnie?

Stankiewicz zbladł i spojrzał na niego z oczekiwaniem w oczach.

— We wsi gdzie mieszkał mój brat, tamtejszy kolczykarz rejestrował tylko to, co chłopi sami przyprowadzali na spęd. A i to łatwo wykreślał z rejestru, jak tylko przyniosło się zaświadczenie od sołtysa albo od rakarza, choć wiedział, że te papierki były przeważnie lewe. I nie brał za to nic, więc chłopi sami znosili mu do domu mięso, masło, ser, jaja czy miód. Tylko raz w naszej wsi upili go i wtedy zaczął chodzić po chlewach na kontrolę.

— Niech pan odwróci klepsydrę — przerwał mu inżynier. — Leżę już w borowinie jakieś dwie minuty.

Kąpielowy obrzucił go świdrującym wzrokiem, odwrócił klepsydrę i poszedł, nie powiedziawszy ani słowa więcej. Wtedy i ja spojrzałem na sąsiada. Miał zamknięte oczy i twarz wykrzywioną bólem. Zaniepokoiłem się jego wyglądem i zapytałem:

— Może pan źle się czuje?

— Nie — odpowiedział, otworzył oczy i wysilił się na nienaturalny uśmiech.

Dopiero po chwili dodał: — A ten stary to jakiś dziwak.

Nie zetknąłem się już z nim więcej tego dnia.

Pod prysznicem nie było go tak długo, póki ja nie wytarłem się i nie poszedłem do leżalni.

Po niedzieli przyszedł później niż ja. W ciągu trzydniowej przerwy mijaliśmy się w parku i jadalni, nawet wymienialiśmy zdawkowe słowa na temat pogody i urządzanych przez sanatorium imprez, więc myślałem, że nie będzie mnie więcej unikał. Leżałem już w borowinie, gdy Stankiewicz — wszedłszy do kabiny — rzucił tylko „dzień dobry", by zaraz położyć się na stole. Kąpielowy powitał go dziwnym oznajmieniem:

— Bałem się, że pan już nie przyjdzie.

— Bał się pan?

Stary w milczeniu zawinął go, nastawił klepsydrę i odszedł. Wróciwszy po dziesięciu minutach, zsunął z siebie górną część ceratowego fartucha. Następnie rozpiął koszulę i obnażył lewy bark. Tuż nad pachą czerwieniła się podłużna blizna. Zobaczywszy ją, spojrzałem szybko na inżyniera. Miał szeroko otwarte oczy, ale nie mogłem dojrzeć ich wyrazu. Przeniosłem wzrok na kąpielowego, który wychodził już na korytarz, zapinając się po drodze.

Wyszedłem z kabiny i umyłem się o wiele wcześniej niż mój współkuracjusz. Nie zobaczyłem go już w leżalni, nie spotkałem go także na terenie sanatorium. Domyśliłem się, że oni wtedy musieli jeszcze rozmawiać w cztery

oczy, bo podczas następnego zabiegu kąpielowy przystąpił od razu do długiego opowiadania:

— Nie chciałem przedtem nic mówić, ale namyśliłem się. Ludzie w różny sposób stroili się w blizny. Ja swoją mam od tego kolczykarza. Nie żeby mnie napadł, czy chciał zabić. To właściwie ja na niego napadłem. To było tego dnia, kiedy go chłopi upili i poszedł na kontrolę chlewów. Oni myśleli, że go wódką ułagodzą, a jemu wódka odebrała rozum. Przyszedł do nas. Brata akurat nie było w domu. Myślałem sobie: jeżeli ten człowiek teraz skonfiskuje mi niekolczykowane świnie, to brat po powrocie będzie na mnie zły, że się kiepsko starałem. A ja miałem akurat nóż w ręku. Gdy kolczykarz wszedł do mieszkania, to ostrzyłem ten nóż na osełce. Więc gdy on zaraz prosto z sieni szedł do chlewa, to nie odłożyłem tego noża. Człowiek czasem sam nie wie co robi. Gdy on otworzył przegródkę, w której były niekolczykowane świnie, złapałem go z tyłu i w tym swoim strachu chciałem pchnąć go nożem z przodu w serce. Już widziałem w ciągu jednej sekundy, jak będzie leżał między wieprzami i jak go nocą wyniosę do rzeki. Ale mi się ręka pomknęła i uderzyłem go zbyt słabo w prawą pierś. Wtedy on odwrócił się gwałtownie — zrobił się nagle zupełnie trzeźwy — wyrwał mi nóż i pchnął mnie na oślep, gdzie

popadło — o, tu. Ale zaraz cofnął rękę i rzucił nóż w gnój, między świnie. Staliśmy tak naprzeciw siebie, dyszeliśmy i nie mówiliśmy nic. Przyleciała bratowa, zaprowadziła nas do izby. On tak jakby wódki nawet nie wąchał. Nie przemówiliśmy do siebie ani słowem. Tylko bratowa lamentowała, żeby wszystko załagodzić i opatrzyła nasze rany. Miała zawsze domową apteczkę, bo nocami przychodzili do nas partyznaci. I wie pan, co on powiedział, jak wychodził?

— Dziękuję panu.

— Co? No tak, tak powiedział. „Dziękuję panu."

Stary stał nad kuracjuszem. Patrzyli sobie w oczy, jak gdyby nie wierzyli w to spotkanie po latach, choć stary już drugi tydzień coś podejrzewał, a inżynier od kilku dni tego się bał.

Ktoś za ścianą zawołał „kąpielowy"!, więc stary burknął:

— Zaraz, zaraz.

Dopiero teraz mogłem zobaczyć dobrze twarz mego sąsiada, bo przedtem kąpielowy mi ją zasłaniał. Twarz ta była cała w pocie. Ale to jeszcze nie borowina wycisnęła ten pot, na tak silne jej działanie było trochę za wcześnie. Mocno zagryzione wargi inżyniera drżały, a broda trzęsła się.

Nie odezwałem się. Przeniosłem wzrok na przeciskający się przez szyjkę klepsydry piasek i starałem się zrobić wrażenie człowieka, który nic nie słyszał. Tak samo zachowywałem się potem, gdy mnie kąpielowy rozwijał, przy myciu, gdy wypoczywaliśmy w leżalni na sąsiednich sofach, bo Stankiewicz tego dnia niejako demonstracyjnie trzymał się mnie i choć nic nie mówił, chciał pokazać, że nie krępuje się tym, czego się o nim dowiedziałem.

Teraz ja zacząłem unikać inżyniera, by nie narażać go na przykre rozmowy. Zresztą nigdy poza swoim pokojem nie chodziłem wiele po terenie sanatorium, a na spacery udawałem się raczej dalej — za miasto, gdzie kuracjuszy rzadko się spotykało.

To następne nasze spotkanie było naszym ostatnim spotkaniem w kabinie. Z rozmowy mego sąsiada z kąpielowym wywnioskowałem tylko, że próbował już zobaczyć się ze starym poza zakładem, być może postarał się w jakiś sposób o jego domowy adres, ale stary musiał go nie przyjąć, bo tej ostatniej soboty zaczął inżynier:

— Dlaczego pan nie chce ze mną porozmawiać?

— Jak to nie chcę? — odpowiedział stary pytaniem, nie przestając okładać go borowiną.

— Pan wie co mam na myśli.

— Ja spałem — powiedział twardo stary. — Ja po tej robocie muszę po południu spać i nie dam się budzić. Pan wie, ile ja mam lat?

— Rozumiem. A dziś? Albo jutro? Jutro, w niedzielę pan nie pracuje.

Kąpielowy właśnie odwracał klepsydrę. Ale nastawiwszy ją, nie odszedł, lecz zatrzymał się jeszcze na chwilę. Mówił:

— Ja panu powiem tylko tyle: ludzie pana szanowali.

Stankiewicz spojrzał na mnie niespokojnie. Było w jego wzroku i nasycenie jakieś, ale był i wstyd — wstyd człowieka publicznie obnażonego.

Stary mówił:

— Może pana i podziemie postawiło na tę robotę. Mnie wszystko jedno. Cieszę się, że pan żyje, oby jeszcze to choróbsko z pana wyszło, to może pan długo i szczęśliwie żyć. Pan nie był wtedy winien, że pana upili. A to z nożem zrobiłem w nerwach. Nic dziwnego, że pan się bronił.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale po krótkim namyśle machnął ręką i poszedł. Gdy potem myłem się pod prysznicem, a stary odwijał go z borowiny, dochodziły mnie jeszcze odgłosy ich rozmowy, ale wśród szumu wody nie mogłem niczego zrozumieć.

Tym razem Stankiewicz w leżalni położył się obok mnie. Zaczął szeptem:

— Powinienem panu to i owo wyjaśnić.

Nie patrzyłem na niego. Było mi go żal. Powiedziałem:

— Ależ nie ma nic do wyjaśniania. Kąpielowy ma rację.

— A jednak. Pan może te rzeczy widzieć inaczej.

— Niech pan będzie spokojny.

— Więc pan również nie chce porozmawiać ze mną?

— Ależ nie — odparłem niepewnie, czując załamanie w jego głosie. — Spotkam się z panem bardzo chętnie na rozmowę.

— Może jutro?

— Dobrze.

— Wyszlibyśmy na spacer bezpośrednio po obiedzie?

— Dobrze.

Ale w niedzielę daremnie rozglądałem się po jadalni. A potem — daremnie czekałem na ławce przed sanatoryjnym budynkiem. Po półgodzinnym oczekiwaniu poszedłem na spacer samotnie.

Po niedzieli Stankiewicz nie przyszedł już na zabieg. Leżałem sam i nie mówiłem nic kąpielowemu na temat inżyniera. Następnym razem — a była to już moja przedostatnia wizy-

ta — kąpielowy na miejsce mojego znajomego położył kogoś innego. Wtedy odważyłem się na rozmowę. Zapytałem go wręcz:

— O czym jeszcze wtedy rozmawialiście panowie?

— Z tym z blizną?

— Tak.

— Ach, panie, on mi zaczął się kajać, opowiadał mi jakieś takie brednie. Jak to inteligent — wszystko zaraz odwraca do góry nogami i kołuje że aż głowa boli. Panie, co to mnie obchodzi, że on nie był wcale partyzantem, że to nie podziemie postawiło go na kolczykarza, że tylko chciał przeżyć wojnę.

— Przeżyć a przeżyć to różnica — wtrąciłem.

Stary machnął ręką. Dopiero po chwili powiedział:

— Pan też tak samo. A wie pan kim on jest?

— No? — spytałem, żeby nie dać poznać, że znam inżyniera.

— Inżynierem co buduje fabryki. Czy nie dobrze, że przeżył?

Ktoś w sąsiedniej kabinie krzyknął „kąpielowy!", więc stary momentalnie odwrócił się i poszedł. Patrząc potem na przesypujący się w klepsydrze piasek, myślałem przez cały czas o tym dziwnym spotkaniu dwóch mężczyzn, którzy kiedyś kłuli się nawzajem nożem.

Towarzyszyły mi te myśli i podczas następnego pobytu w zakładzie borowinowym. Gdy mnie kąpielowy zawijał, zapytałem go:

— Jak długo on był kolczykarzem w waszej gminie?

Stary żachnął się na znak że ma już tego dość, jednak mi odpowiedział:

— Ech, pan taki nudny. Do końca wojny.

— I co?

— Uciekł przed przyjściem czerwonej armii. Wciąż miał nieczyste sumienie, nie wiem czemu. I do dziś ma nieczyste sumienie. Teraz też uciekł. Tak samo jak wtedy.

— Ucieczka nie jest najszlachetniejszą reakcją — powiedziałem.

— Ech, pan znowu swoje. A może mu coś przeszkodziło i pojutrze znowu przyjdzie?

— Ale niech mi pan powie jeszcze jedno. Kiedy on się nabawił tej choroby, że aż mu unieruchomiło kark i kręgosłup?

— To właśnie wtedy, po ucieczce. Powiedział mi i to ostatnim razem. Podczas tej ucieczki skakał przez jakiś rów, złamał nogę i leżał przez trzy dni w lesie na wilgotnej ziemi. Noga wyzdrowiała potem, a tamto zostało. Miał same takie głupie przypadki.

— Rzeczywiście — westchnąłem. — Nic bohaterskiego w tej postaci.

— E, pan znowu — powiedział stary.

— No, wie pan, życiorys jest najlepszym portretem człowieka.

Stary zmarszczył się i stał jeszcze przez chwilę. Potem odwrócił się i poszedł. Dokończyliśmy rozmowę dopiero następnym razem.

Ale między tą a następną bytnością w zakładzie borowinowym myślałem o Stankiewiczu coraz intensywniej. Interesowało mnie przede wszystkim czy on rzeczywiście i teraz uciekł? Postanowiłem to sprawdzić. Poszedłem do sanatoryjnego biura.

— Stankiewicz? — mówiła sekretarka, szperając w dokumentach. — Stankiewicz? Ach tak! To ten z pokoju 214. Wie pan, on po prostu sobie pojechał, nawet się do nikogo nie zgłosił. Zameldowała mi o tym pokojowa.

A więc jednak uciekł.

Wchodząc po raz ostatni do kabiny, zagadałem kąpielowego:

— No i co? Nie zmienił pan zdania?

Machnął ręką i zaczął mnie zawijać. Gdy skończył — stanął rozkraczony i patrzył mi w oczy. Jego siwe brwi poruszały się rytmicznie. Wreszcie otworzył usta.

— Najłatwiej jest gadać i sądzić innych.

Otworzył drzwi kabiny wysuniętą do tyłu ręką, spojrzał na mnie jeszcze raz i wyszedł. Milczałem, patrząc w miejsce, na którym przed chwilą stał. Było mi ciężko, ten człowiek rzucił

mi w twarz oskarżenie. I zaraz przyszło mi na myśl, że Stankiewicz ucieka przez całe życie, że jego przyjazd na ziemie odzyskane — do Olsztyna — był też ucieczką w nowe, nieznane środowisko, w którym można czuć się bezpiecznie.

Ale już mnie trapiło nowe pytanie: Czy ten człowiek ucieknie jeszcze raz? Czy ucieknie teraz z Olsztyna — przede mną, znającym wstydliwe fakty, przed którymi to miasto miało być jego azylem?

Chciałem tymi nowymi myślami podzielić się z kąpielowym, gdy wrócił, by mnie uwolnić z borowiny. Ale gdy zobaczyłem jego nasrożoną twarz i poruszające się znowu brwi — zrezygnowałem z tego zamiaru.

Stary kąpielowy jakby ucieszył się moim milczeniem. Powiedział pogodnie:

— No, to już ostatni raz. Życzę panu dobrego zdrowia po kuracji.